

Wojciech Engelking szuka głosu. Recenzja

Reprezentantów i reprezentantek pokolenia urodzonego po 1989 roku na polskiej scenie literackiej jest żałośnie mało. Tych wartych uwagi - jeszcze mniej (konkretnie dwójka: Natalia Suszczyńska i Dorota Kotas). Wbrew temu, co próbowano wmówić dawno temu Dominice Ożarowskiej czy Dominice Dymińskiej, nikt z polskich millenialsów nie zasłużył na miano nowej Doroty Masłowskiej. Nie było wśród nas żadnego spektakularnego debiutu osiemnastolatki; nikt nie przenicował zasad języka; nikt nie rapował ani nie odkrył warszawskim intelektualistom nieznanego świata klasy robotniczej. Krytyka literacka próżno szukała wśród nas nowego talentu i młodzieńczej energii; nie nadawaliśmy się do niczego.

I wśród tej naszej mizernej gromadki – Wojciech Engelking. Jedyne autor z tego pokolenia, który opublikował już nie tylko swój debiut, ale aż cztery książki – i każdą w dobrym, dużym wydawnictwie, o jakim zaczynająca w Niebieskiej Studni Dorota Kotas mogła tylko pomarzyć. Mimo dość mizernych recenzji dotychczasowych propozycji Engelkinga, jego najnowszą powieść, „Serce pełne skorpionów”, wydało niedawno wydawnictwo W.A.B.

O swoim najnowszym dziele autor mówi, że dopiero w nim odnalazł swój pisarski głos. Na przekór krytykom i krytyczkom oczekującym z jakiegoś powodu od naszego pokolenia językowych zabaw à la Masłowska, jest to głos z konstrukcyjnego punktu widzenia bardzo konserwatywny. Są bohaterowie, są perypetie, jest Warszawa lat 60. – żadnych stylistycznych rewolucji. Niestety, aż za bardzo.

Jeżeli coś z tej wartko napisanej powieści sensacyjnej w czytelnicy zostaje, to co najwyżej przekonanie o bezgranicznym uwielbieniu autora dla opisywanej przez siebie epoki. „Serce” jest przede wszystkim pełnym tęsknoty listem miłosnym do tamtych czasów i powieści. To historia, która bardzo chciałaby być swoimi mistrzowskimi pierwowzorami. Niestety, jakby to powiedział klasyk z innej epoki, autor pomylił niebo z gwiazdami odbitymi nocą na powierzchni stawu.

Najgłośniejszą w „Sercu” słyhać „Madame” Antoniego Libery. Choć bezpośrednie odwołanie nie pada ani razu, to niektóre strony pobrzmiwają odległym, przebrzmiałym dawno echem tamtej historii. Trochę, jakby Engelking dopisał dalszą część, która co prawda rozgrywa się w tym samym uniwersum, ale już bez wdzięku wersji kanonicznej.

Pozornie wszystko się zgadza: liceum, lata 60., główny bohater, pierwsza miłość, intryga. W „Madame” młody inteligent zakochał się w swojej tajemniczej dyrektorze; u Engelkinga to koleżanka z Leningradu. I tutaj, poza wszystkim, cała historia wprowadzić głównego bohatera w dorosłość i stworzyć pisarza. Kiedy bohaterowie na zmianę recytują wiersze polskich i rosyjskich poetów, to przychodzi to na myśl francuskojęzyczne szermierki z „Madame” – a raczej ich bardzo wypaczone, wymuszone i pretensjonalne odpowiedniki. Dyskretna intryga w nowej wersji to szalona, dość przeciętnie napisana sensacja, która ma w założeniu równoważyć wątek miłosny. Całość okraszona bogatym sztafażem z epoki – tu puszczane oczko, tam nawiązanie; dużo faktów historycznych i

bardzo wysoki poziom szczegółu (dodatek na końcu powieści z obszerną bibliografią jest rozczulający).

Niestety, za tą rozbudowaną ornamentyką nic się nie kryje. Najbardziej demaskuje to język powieści. Engelking ma właściwie kilka technik stylistycznych, z których wszystkie wykorzystuje do granic możliwości czytelniczej percepcji. Nie zliczę, ile razy przejście do nowego akapitu otwiera fraza „jeśli zaś chodzi o X, to...”, względnie „co zaś do X, to”. Fakty historyczne, skądinąd ciekawe, narrator wprowadza równie monotennie, zazwyczaj w didaskaliach do dialogu. Bohater słyszy na przykład od rozmówcy o jakimś miejscu i mówi „od razu domyśliłem się, że chodzi mu o...” i dzieli się informacją historyczną na jego temat. Czasem zastanawiałam się – czy naprawdę to byłoby właśnie to, o czym w takiej chwili pomyślałby ten chłopak, autochton Warszawy lat 60.?

Ta powieść jest jak echo – w treści słychać Libereę; w języku Tyrmanda (fragment o wiośnie warszawskiej najbardziej mnie zasmucił). Nie słychać niemal w ogóle Engelkinga. To bardzo rozczarowujące, bo nie wydaje mi się, żeby naprawdę nie miał niczego do powiedzenia. Nie można wszak odmówić mu erudycji, zdolności obserwacyjnych i fantastycznego języka – widać to bardzo dobrze w jego publicystyce czy dłuższych, eseizujących tekstach do magazynów. W powieściach ta swada zupełnie znika, a cały talent autora chowa się za imitacją tego, co już dawno zostało napisane i pomyślane przez innych. Chętnie przeczytałabym jego eseje. Wydaje mi się, że dopiero w tej formie mógłby osiągnąć swój prawdziwy potencjał. Co zaś się tyczy powieści, to jeszcze nie tym razem.

MM